

# Stickeen

John Muir

Latem 1880-go roku wyruszałem czólnem z Fort Wrangel aby kontynuować badania lodowcowego obszaru południowo-wschodniej Alaski, które rozpocząłem zeszłej jesieni. Gdy już zebrano i załadowano niezbędny prowiant, koce itd. i gdy moja indiańska załoga była w gotowości na swoich pozycjach a tłum ich krewnych i przyjaciół w przystani żegnał ich i życzył im powodzenia, mój towarzysz, Wielebny S. H. Young, na którego czekaliśmy, w końcu wszedł na pokład a tuż za nim mały czarny pies, który natychmiast poczuł się jak w domu, zwijając się w zagłębieniu pomiędzy bagażami. Lubię psy, ale ten wydawał się tak mały i bezwartościowy, że sprzeciwiłem się jego towarzystwu i spytałem misjonarza dlaczego go zabiera.

„Takie małe bezradne stworzenie będzie tylko przeszkadzało”, powiedziałem; „lepiej oddałbyś go tym indiańskim chłopakom w przystani — wzięliby go do domu żeby bawił się z dziećmi. Pies-maskotka nie nadaje się na naszą wyprawę. Biedny głuptas będzie w deszczu i śniegu przez tygodnie czy miesiące i będzie trzeba się nim opiekować jak dzieckiem”.

Ale jego pan zapewnił mnie, że nie będzie z nim najmniejszych kłopotów; że jest to cud-psina, znosi zimno i głód jak niedźwiedź, pływa jak foka, i że jest w ogóle czarujący, sprytny, itd., wyliczając tyle zalet jakby chciał wykazać, że będzie to najbardziej interesujący członek drużyny.

Beznadziejne byłoby ustalanie linii jego przodków. W całym owym cudownie wymieszanym i różnorodnym psim gatunku nigdy nie widziałem stworzenia podobnego do niego, chociaż jego chytre, płynne, sunące ruchy i gesty przywoływały na myśl lisa. Miał krótkie nogi i raczej przysadzisty tułów, a jego sierść, chociaż gładka, była długa, jedwabista i lekko falowana, tak że gdy wiatr wiał na niego od tyłu mierzwił go nadając mu kudłaty wygląd. Na pierwszy rzut oka jego jedyną godną uwagi cechą był wytworny ogon, niemal tak zwiewny i cieniowany jak wiewiórczy, a nosił go tak zawiniętego do przodu, że prawie sięgał mu nosa. Dopiero przyglądając się bliżej można było zauważyć jego zmysłowe oczy ze sprytnymi, żółtawo-brązowymi plamkami nad nimi. Pan Young powiedział mi, że gdy ów mały towarzysz był szczeniakiem wielkości mysikrólika, został przedstawiony jego żonie przez irlandzkiego poszukiwacza w Sitka. A przyjechawszy do Fort Wrangel został z entuzjazmem przyjęty przez Indian Stickeen jako rodzaj nowego totemu powodzenia. Nadano mu imię „Stickeen” od nazwy plemienia i stał się powszechnym ulubieńcem; był pieszczony, chroniony i hołubiony gdziekolwiek się nie pojawił i uznawany był za tajemnicze źródło mądrości.

Na naszej wyprawie szybko udowodnił, że jest podejrzanym typem — dziwaczny, skryty, niezależny, zwycięsko milczący i robiący mnóstwo zagadkowych rzeczy, które wzbudzały moją ciekawość. Gdy tak płynęliśmy tydzień po tygodniu przez długie zawile koryta i zatoki wśród niezliczonych wysp i szczytów wybrzeża, on spędzał większość tych nudnych dni na leniwym wygodnictwie, w bezruchu i pozornie tak nieprzytomny jak w głębokim śnie. Ale odkryłem, że jakoś zawsze wiedział co się wokół niego dzieje. Gdy Indianie zamierzali strzelać do kaczek albo fok, albo gdy coś na brzegu zwracało naszą uwagę, on opierał podbródek o burtę i spokojnie patrzył w dal niczym rozmazany turysta. Ale gdy tylko usłyszał jak mówimy o zawinięciu do brzegu, natychmiast podnosił się żeby sprawdzić do jakiegoż to miejsca przybywamy i gotowił się do skoku za burtę żeby płynąć do brzegu gdy tylko czółno zbliży się do plaży. Później z wigorem otrząsał się z morskiej wody i biegł do lasu upolować jakąś małą zwierzynę. Ale chociaż zawsze jako pierwszy opuszczał czółno, zawsze jako ostatni na nie wsiadał. Gdy byliśmy gotowi aby wyruszyć, nigdy nie mogliśmy go znaleźć a on odmawiał przybycia na nasze wołania. Wkrótce odkryliśmy jednak, że chociaż w takich momentach go nie widzieliśmy, on widział nas i ukryty w chaszczach jeżyn i róż na skraju lasu śledził czółno czujnym wzrokiem. Dlatego gdy tylko odbiliśmy znacznie od brzegu, kuso pędził ku plaży, rzucał się w przybrzeżne fale i płynął za nami, wiedząc, że przerwiemy wiosłowanie i zabierzemy go. Gdy ów uparty mały włóczęga docierał do czółna, podnosiliśmy go za kark, trzymaliśmy przez chwilę na wyciągnięcie ręki poza burtę aby ociekł i opuszczaliśmy go na pokład. Próbowaliśmy wyleczyć go z tej jego sztuczki zmuszając go do przepływania coraz to większych odległości udając, że chcemy go porzucić; ale to nie działało: wydawało się, że im dłużej płynie tym większą czerpie z tego radość.

Chociaż zdolny do wielkiej beczynności, był zawsze gotowy do wszelkiego rodzaju przygód i wycieczek. Pewnej deszczowej nocy, ciemnej choć oko wykol, wylądowaliśmy około dziesiątej u ujścia łososiowego potoku gdy woda była fosforyzująca. Łososie płynęły — i miriady płetw tego porywistego tłumu wzburzały cały strumień nadając mu srebrzyste żarzenie, czarując pięknie i niesamowicie w tej hebanowej ciemności. Żeby lepiej przyjrzeć się temu widowisku wyruszyłem z jednym z Indian w górę potoku. Pożeglowaliśmy jego samym środkiem aż do progów skalnych odległych o prawie kilometr od obozowiska, gdzie wartki strumień przewalający się przez skały wywoływał najwspanialsze żarzenie. Gdy przypadkiem zerknąłem w dół strumienia, podczas gdy Indianin łapał zmagające się z prądem ryby, zobaczyłem długi, rozproszony niczym warkocz komety wachlarz światła. Pomyśleliśmy, że musiało go wywołać jakieś wielkie dziwne zwierzę, które nas tropi. Otóż i pojawił się jego wspaniały ogon i już wyobrażaliśmy sobie, że widzimy głowę i oczy potwora. Ale to był tylko Stickeen, który odkrywszy, że opuściliśmy obóz, przypłynął za nami zobaczyć co się dzieje.

Gdy wcześniej rozbijaliśmy obóz, najlepszy myśliwy w załodze zwykle szedł do lasu na jelenia a Stickeen musiał mu deptać po piętach, o ile ja byłem w obozie. Albowiem dziwne, że chociaż nie nosiłem broni zawsze podążał za mną, porzucając myśliwego i nawet swego pana żeby brać udział w moich wędrówkach. Dni kiedy sztorm nie pozwalał żeglować spędzałem w lesie, albo w okolicznych górach, gdziekolwiek nie wzywały mnie moje badania; a Stickeen zawsze upierał się żeby iść ze mną, jakkolwiek dzika nie byłaby pogoda, sunąc jak lis przez ociekające krzewy jarzyn i cierniste płataniny bylin i dzikich róż, rzadko trącając ich obciążone deszczem liście; brodząc i tarzając się w śniegu, płynąc w lodowatych strumieniach, przeskakując kłody, skały i szczeliny lodowców z

cierpliwością i wytrzymałością zdeterminowanego alpinisty, nigdy się nie męcząc i nie zniechęcając. Pewnego razu podążał za mną na lodowcu, którego powierzchnia była tak spękana i szorstka, że pocięła mu stopy aż każdy jego ślad był czerwony od krwi; ale on truchtał do przodu z indiańskim hartem ducha aż do momentu gdy zauważyłem jego ślady i zlitowawszy się nad nim, zrobiłem mu zestaw mokasynów z husteczki. Jakkolwiek wielkie nie byłyby jego kłopoty, nigdy nie prosił o pomoc i nie narzekał, jakby niczym filozof wiedział, że bez ciężkiej pracy i cierpienia nie ma prawdziwych przyjemności.

Lecz nikt z nas nie mógł zrozumieć dlaczego niektóre sprawy były jego specjalnością. Z niepojętych powodów lubił znosić niebezpieczeństwa i trudy, upierał się zawsze przy swoim, nigdy nie spełniał poleceń, a myśliwy nigdy nie mógł go naszczuć na żadną zwierzynę albo zmusić żeby przyniósł ustrzelonego ptaka. Jego równowaga ducha była tak stabilna, że wydawała się wynikać z jego żądz wrażeń; zwykłe burze były dla niego przyjemnością, a jeśli chodzi za ledwie o deszcz — rozkwitał w nim niczym warzywo. Nieważne na jakie uprzejmości byś się nie zdobył, jedynie skąpe spojrzenie albo machnięcie ogonem otrzymałbyś za swoje trudy. Ale chociaż był najwidoczniej zimny niczym lodowiec i głuchy na pieszczoty, usilnie próbowałem zawrzeć z nim znajomość, przypuszczając, że coś szczególnego musi kryć się pod taką ilością odwagi, wytrzymałości i umiłowania przygody w dzikiej pogodzie. Żaden emerytowany brytan czy buldog wychowany w biurze nie przewyższał tego puszystego malucha w stoickiej godności. Czasem przypominał mi małego, pękatego, niewzruszonego, pustynnego kaktusa. Bo nigdy nie przejawiał najmniejszego śladu owej radosnej, figlarniej, elfiej wesołości terrierów i owczarków, którą tak dobrze znamy, ani też ich wzruszającego przywiązania i poświęcenia. Zazwyczaj małe psy są jak dzieci: chcą być kochane i chcą móc kochać. Ale Stickeen wydawał się być samym Diogenesem, chcąc jedynie by zostawić go w spokoju: prawdziwe dziecko dziczy, utrzymujące stały kurs swojego skrytego życia z milczeniem i spokojem natury. Siłę jego charakteru było widać w jego oczach. Wyglądały tak staro jak otaczające nas wzgórza, ale i tak młodo, i tak dziko. Nigdy nie miałem dosyć wpatrywania się w nie: było to jak oglądanie krajobrazu; chociaż były małe i raczej głęboko osadzone, i ich wyraz nie wyjaśniał szczegółów. Od dawna przywykłem przyglądać się twarzom roślin i zwierząt i obserwowałem tego małego sfinksa coraz bardziej przenikliwie, niczym interesujące studium. Ale nie oszacujesz rozumu i mądrości ukrytej głęboko w naszych niższych śmiertelnych towarzyszach dopóki nie ujawnią ich głębokie przeżycia; albowiem to przez cierpienie doskonałość osiągają psy i święci.

Po zbadaniu fiordów Sumdum i Tahkoo oraz ich lodowców, przepłynęliśmy przez Przesmyk Stephena do Kanału Lynn a stamtąd przez Cieśninę Strait do Cieśniny Cross, poszukując niezbadanych zatok wiodących do wielkich pól lodowych Masywu Fairweather. Tutaj, chociaż pływy działały na naszą korzyść, towarzyszyła nam flota gór lodowych dryfujących do oceanu z Zatoki Lodowców. Powoli wiosłowaliśmy wokół Przylądka Vanconver podczas gdy naszym kruchym czółnem rzucało jak piórem na wzbierających wodnych wyniesieniach nadchodzących od Przylądka Spencer. Przez długie mile cieśnina ta obwarowana jest urwistymi ścianami klifów, które smagane wodnym pyłem i z głowami ukrytymi w chmurach, wyglądały okropnie groźnie i surowo. Gdyby nasze czółno zostało tutaj zdruzgotane lub przewróciło się, nie byłoby gdzie wylądować bo klify, tak wysokie jak te w Yosemite, schodzą prosto w głęboką wodę.

Chciewie wypatrywaliśmy w północnej ścianie pierwszych oznak jej otwarcia się w fiord czy przystań, wszyscy zatroskani oprócz Stickeena, który spokojnie drzemał lub gapił się marząco na ogromne urwiska gdy słyszał jak o nich rozmawiamy. W końcu z radością odkryliśmy ujście wąskiego wcięcia nazywanego obecnie „Zatoką Taylora”. Około piątej osiągnęliśmy jej najgłębiej w łód wciętą część i rozbiliśmy obóz w świerkowym zagajniku u czoła wielkiego lodowca.

Gdy rozbijano obóz, myśliwy Joe wspiął się na ścianę górską po wschodniej stronie fiordu żeby polować na kozice, podczas gdy pan Young i ja poszliśmy na lodowiec. Odkryliśmy, że oddzielony jest od wód zatoki moreną rozmytą przez pływy i rozciąga się stromą barierą na całej szerokości doliny, od ściany do ściany, przez jakieś pięć kilometrów. Ale naszym najbardziej interesującym odkryciem było to, że niedawno wyraźnie postąpił w dół doliny, chociaż obecnie znowu nieco się cofając. Część moreny czołowej została rozerwana i odepchnięta do przodu, wyrrywając z korzeniami i przygniatając las po wschodniej stronie. Wiele drzew było zwalonych i pogrzebanych, całkiem lub częściowo, inne odchyłały się od lodowych klifów, gotowe runąć, jeszcze inne stały wyprostowane lecz dno lodowego pługu tkwiło już pod ich korzeniami a jego wyniosłe kryształowe wieże wznosiły się wysoko ponad ich wierzchołkami. Niezwykły widok jaki przedstawiały te wiekowe drzewa stojące tuż przy strzelistej ścianie lodu, niemal dotykając ją gałęziami, był dla nas nowy i uderzający. A gdy wspiąłem się wokół czoła i nieco w górę na zachodnią ścianę lodowca, zobaczyłem, że spuchł i zwiększył swą wysokość stosownie do swego wydłużenia a na swoim zboczu unosił zewnętrzne szeregi drzew.

Wracając do obozowiska po tych pierwszych obserwacjach zaplanowałem daleką i rozległą wycieczkę na jutro. Obudziłem się wcześniej, wołany nie tylko przez lodowiec, który tkwił w mej świadomości przez całą noc, ale również przez wielką ulewę. Sztormowe uderzenia wiatru od północy gnały chmury wywołując zapalczą horyzontalną ulewę, jakby deszcz krążył nad światem zamiast nań padać. Główne stałe strumienie huczały wysoko ponad swoimi normalnymi brzegami a setki nowych, grzmiących niczym morze, prawie pokrywały wyniosłe szare ściany zatoki białymi kaskadami i wodospadami. Zamierzałem zrobić sobie kawę i zjeść coś w stylu śniadania przed odejściem, ale gdy usłyszałem ów sztorm i wyjrzałem na zewnątrz pośpieszyłem by się weń wtopić; albowiem wiele najpiękniejszych lekcji Przyroda udziela podczas jej burz, a będąc ostrożni w stosunkach z nimi, możemy bezpiecznie się w nich zanurzyć, radując się ich majestatycznym przebiegiem i pięknem ich dzieł i śpiewając z dawnymi Nordami „Uderzenia burzy pomagają naszym wiosłom, huragan jest naszym sługą i gna nas tam gdzie chcemy dotrzeć”. Tak więc, ominąwszy śniadanie, włożyłem kawałek chleba do kieszeni i pośpiesznie wyruszyłem.

Pan Young i Indianie spali i miałem nadzieję, że będzie też spał Stickeen; ale nim zrobiłem kilka kroków on opuścił swój kojec w namiocie i znudzony potruchtał za mną wśród uderzeń wichury. To, że człowiek czerpie radość z burz dla ich ożywczej muzyki i ruchu, i wyrusza w nie by zobaczyć jak Bóg tworzy krajobrazy, jako tako rozumiem; ale cóż może być fascynującego w tej majestatycznej pogodzie dla psa? Z pewnością nic związanego z ludzkim entuzjazmem dla scenerii czy geologii. Tak czy owak, oto mamy go — bez śniadania, przez ogłuszający wiatr. Zatrzymałem się i jak tylko umiałem próbowałem go zawrócić. „Nie tym razem”, powiedziałem, krzycząc by mnie usłyszał przez burzę, „nie tym razem, Stickeen. Co ci teraz siedzi w twej dziwacznej makówce?”

Musisz być głupi. Ten dziki dzień nie przyniesie ci nic dobrego. Nie będzie zwierzyny, niczego oprócz pogody. Wracaj do obozu i trzymaj się ciepło, zjedz dobre śniadanie z panem i bądź rozsądny chociaż raz. Nie mogę nosić cię cały dzień ani karmić, a ta burza cię zabije.”

Ale Natura, zdaje się, leżała u sedna sprawy, a realizuje ona swoje plany tak wśród psów jak i wśród ludzi, każąc nam robić tak jak ona chce, popychając i pociągając nas wzdłuż swoich ścieżek, jakkolwiek nierównych, nieomal zabijając nas czasami żeby wbić nam do głowy swoje trudne lekcje. Po kilkukrotnym przystawaniu i wykrzykiwaniu swoich ostrzeżeń, widziałem, że nie da się go pozbyć; równie dobrze Ziemia mogłaby się starać uwolnić od Księżyca. Już raz wpędziłem w tarapaty jego pana, kiedy odpadł z jednego z wysokich skalnych występów góry i zwichnął rękę; teraz nadchodziła kolej jego skromnego towarzysza. Ów mały wędrowiec po prostu stał tam na wietrze, przemoczony i mrużąc ślepia, mówiąc po psiemu „Gdzie ty pójdziesz pójde i ja.” W końcu więc powiedziałem mu żeby szedł skoro musi i dałem mu kawałek chleba, który miałem w kieszeni; dalej zmagaliśmy się razem i tak rozpoczął się najbardziej pamiętny ze wszystkich moich dzikich dni.

Owa pozioma ulewa chłostająca nas prosto w twarze zmyła nas dziko, aż dostaliśmy się do schronienia w zagajniku po wschodniej stronie lodowca, w pobliżu jego czoła, gdzie zatrzymaliśmy się na chwilę żeby złapać oddech, posłuchać i rozejrzeć się. Badania lodowca były moim głównym celem, ale wiatr był zbyt silny by pozwolić na wycieczki po jego odsłoniętej powierzchni, gdzie możnaby zostać niebezpiecznie zepchniętym balansując do skoku nad krawędzią szczeliny. W międzyczasie sam sztorm był ciekawym studium. Tam gdzie byliśmy, koniec lodowca, schodząc z gwałtownej wypukłości stawiających opór skał o wysokości 170 metrów, przechylał się do przodu i opadał w kaskadach lodu. I podczas gdy sztorm gnał wzdłuż lodowca od północy, Stickeen i ja byliśmy poniżej jego głównego prądu, korzystnie położeni by patrzeć i słuchać. Jakież to psalm śpiewała ta burza, i jak świeżo pachniała wymyta ziemia i liście, i jak słodkie były ciche, delikatne dźwięki sztormu! Oderwane powiewy i zawirowania nadchodziły wśród drzew, z muzyką liści, gałęzi i bruzdowatych pni, a nawet rozszczepionych skał i lodowych ścian nad głową. Wiele dźwięków było miękkich i niskich, brzmiących jak flet, jakby każdy liść i drzewo, wieża i iglica były nastrojonymi piszczałkami. Szeroki potok odwadniający bok lodowca, wzmożony obecnie o zebrane nowe strumienie z gór, staczał głązy w dół swego skalistego koryta z dudniącym, stłumionym łomotem, pędząc w kierunku zatoki z kolosalną energią, jakby śpiesząc się żeby wydostać się z gór; wody ponad nami i wody w dole wołały siebie nawzajem i wołały ocean, ich dom.

Patrząc na południe z naszego schronienia, po lewej mieliśmy rwące potoki i zaleśnioną ścianę górską nad nimi, po prawej strzeliste ściany lodu, a przed sobą gładki szary mrok. Próbowałem narysować tę cudowną scenę w notatniku, ale deszcz rozmazał całą stronę pomimo moich wysiłków aby ją osłonić i szkic był prawie bezwartościowy. Gdy wiatr zaczynał słabnąć ruszyłem wschodnim skrajem lodowca. Wszystkie drzewa na skraju lasu były odarte z kory i poharatane, znakując najwyższy poziom lodu w bardzo wymowny sposób, podczas gdy dziesiątki tysięcy tych, które przez wieki rosły bliżej krawędzi lodowca, leżały zmiażdżone i ciągle ulegały miażdżeniu. W wielu miejscach wzrok mój sięgał jakieś 15 metrów pod krawędź lodowcowego młynu, gdzie półmetrowej średnicy pnie były mielone na miazgę o wystające skalne żebra i wypukłości koryta.

Około pięć kilometrów ponad czołem lodowca wspiąłem się na jego powierzchnię

wyrabując czekaniem stopnie, żeby ułatwić podejście Stickeenowi. Jak okiem sięgnąć, płaski, albo prawie płaski lodowiec rozciągał się bez końca pod szarym niebem. Zdawał się być nieskończoną prerią lodu. Deszcz ciągle padał i był zimniejszy, czym nie przejmowałem się zbyt, ale matowy, śnieżny wygląd nisko wiszących obłoków sprawiał, że wahałem się zaryzykować oddalenie od lądu. Ani śladu zachodniego brzegu nie było widać i gdyby zachmurzyło się na dobre i sypnęło śniegiem, albo gdyby wiatr znowu stał się gwałtowny, mógłbym zagubić się w płątaninie szczelin, czego się obawiałem. Kryształki śniegu, kwiaty górskich obłoków, są wątłe i piękne, ale jednocześnie straszne gdy niesie je porywisty wiatr w oślepiających, oszałamiających rojach, albo gdy spajają się w lodowce pełne śmiertelnie niebezpiecznych szczelin. Obserwując pogodę, włączyłem się po kryształowym morzu. Przez jakieś dwa kilometry lód był wyjątkowo bezpieczny. Nieliczne szczeliny były zazwyczaj wąskie, podczas gdy tych kilka szerszych łatwo było unikać obchodząc je dookoła a i chmury zaczęły się rozstępować tu i tam.

Tak zachęcony w końcu postanowiłem przebić się na drugi brzeg. Albowiem Natura może kazać nam zrobić co tylko zechce. Na początku żwawo posuwaliśmy się do przodu a niebo nie wyglądało zbyt groźnie. Co jakiś czas ustalałem swoje położenie przy pomocy kieszonkowego kompasu aby ułatwić sobie odnalezienie drogi powrotnej na wypadek gdyby sztorm znowu stał się oślepiający. Ale linie struktury lodowca były moim głównym przewodnikiem. Niedaleko zachodniego brzegu trafiliśmy na silnie uszczelinioną część, gdzie musieliśmy robić długie i wąskie zygzaki, nadkładając mnóstwo drogi i lawirując wzdłuż brzegów kolosalnych, wzdłużnych i poprzecznych szczelin, z których wiele było szerokich na 6 do 9 metrów a głębokich na setki — piękne i straszne. Przedzierając się przez nie byłem bezwzględnie ostrożny, podczas gdy Stickeen podążał beztrudnie niczym przepływające nad nami obłoki. Najszerszą szczelinę, którą byłem w stanie przeskoczyć, przeskakiwał nawet nie zatrzymując się żeby na nią popatrzeć. Pogoda ulegała teraz szybkim zmianom. Oślepiające smugi światła rozpraszały się w nieprzyjaznym półmroku. Gdy rzadko zdarzało się, że słońce przełamywało się całkowicie, cały lodowiec stawał się widoczny od brzegu do brzegu. Częściowo odsłaniał się wtedy jasny szereg otaczających gór, opatulonych w obłoki, a lodowa preria rozkwitała i skrzyła się tęczowym światłem miriad wypłukanych kryształów. Wtedy nagle całe to wspaniałe widowisko zasepiało się i zacierało się.

Stickeen zdaje się nie dbał o żadną z tych rzeczy, jasno czy ciemno, ani o szczeliny, studnie czy wartkie błyszczące strumienie, do których mógł wpaść. Ów mały łowca przygód miał tylko dwa lata ale nic nie wydawało się być nowym dla niego i nic mu nie było straszne. Nie wykazywał ani ostrożności, ani zdziwienia, zaciekawienia czy strachu, ale odważnie truchtał do przodu jakby lodowce były piaskownicą. Całe jego solidne, pokryte sierścią ciało wydawało się być jednym skocznym mięśniem i było naprawdę cudownie patrzeć jak zwinnie i najwidoczniej niedbale przemykał nad psującymi nerwy czeluściami szerokimi na ponad dwa metry. Jego odwaga była tak niewzruszona, że wydawała się wynikać z tępoty percepcji, tak jakby był tylko ślepo odważny. Więc notorycznie dawałem mu rady żeby był ostrożny. Albowiem byliśmy bliskimi towarzyszami na tak wielu wyprawach w dzikie tereny, że wytworzył się u mnie nawyk mówienia do niego jakby był chłopakiem i rozumiał każde słowo.

Po około trzech godzinach osiągnęliśmy zachodni brzeg. Lodowiec miał tutaj szerokość jakichś jedenastu kilometrów. Następnie pognaliśmy na północ, żeby zajrzeć tak bardzo jak to tylko możliwe w głąb Gór Fairweather, zanim zasłonią je chmury. Łatwo

było maszerować skrajem lasu, który oczywiście jak ten po drugiej stronie, padł ofiarą inwazji i został zmiądzony przez spuchnięty, przepełniający koryto lodowiec. Po około godzinie, ominąwszy masywny cypel, wpadliśmy nagle na odgałęzienie lodowca, który w postaci majestatycznej, szerokiej na trzy kilometry kaskady lodu, przelewał się przez krawędź głównego basenu w kierunku zachodnim. Jego powierzchnia była spękana w ostrza o falistym kształcie i potrzaskane bloki, sugerując najbliższe burzliwe ruchy wielkiej rzecznej katarakty. Podążając w dół przez jakieś pięć kilometrów odkryliśmy, że lodowiec uchodził do jeziora, które zasiliał w góry lodowe.

Z chęcią śledziłbym ujście jeziora aż do strefy pływów, ale dzień już mieliśmy właściwie za sobą a groźnie wyglądające niebo nawoływało do pośpiesznego powrotu, aby zdążyć zejść z lodu przed zmrokiem. Zdecydowałem więc, że dalej nie pójdziemy i rozejrzawszy się ogólnie po pięknej okolicy zawróciłem, mając nadzieję, że kiedyś zobaczę ją jeszcze w korzystniejszych warunkach. W niezłym tempie ruszyliśmy w górę koryta owej lodowej kaskady i osiągnęliśmy główny lodowiec zostawiając jego zachodni brzeg jakieś trzy kilometry za nami. Tutaj wdostaliśmy się w trudną sieć szczelin, zbierające się obłoki zaczęły rozprzestrzeniać mgliste strzępy i wkrótce straszny śnieg zaczął padać gęsto i obficie. Zacząłem się niepokoić jak znajdziemy drogę w osłepiającej śnieżycy — Stickeen nie wykazywał cienia strachu. Był ciągle tym samym milczącym, zdolnym, małym bohaterem. Zauważyłem jednak, że gdy zapadły burzowe ciemności trzymał się bliżej mnie. Śnieg ponaglał nas do coraz większego pośpiechu, jednocześnie ukrywając naszą drogę. Śpieszyłem się tak jak tylko mogłem, przeskakując niezliczone szczeliny. Każdy stumetrowy postęp wymagał kilometrowego lawirowania w górę i w dół lodowca w płataninie czeluści i zaburzonych lodowych bloków. Po jednej czy dwóch godzinach takiej pracy trafiliśmy na serię wdłużnych szczelin o zatrważającej szerokości, bardzo regularnych, prawie prostych, niczym olbrzymie bruzdy. Pobudzony i wzmocniony przez niebezpieczeństwo, pokonałem je z opanowaniem, wykonując długie skoki, balansując ostrożnie nad ich oszałamiającymi krawędziami. Przed wykonaniem skoku wyrąbywałem sobie wydrążenia na stopy, żeby uniknąć potencjalnego poślizgnięcia się, czy jakiegokolwiek niewiadomej po przeciwnej stronie. Tylko jedna próba jest ci dana — ćwiczenie jednocześnie straszne i inspirujące. Stickeen podążał za mną bez widocznego wysiłku.

Wiele kilometrów przebyliśmy w ten sposób, większość z nich w górę albo w dół, czyniąc tylko nieznaczny postęp w rzeczywistym przekraczaniu lodowca. Przez większość czasu biegliśmy zamiast maszerować, bo groźba bycia zmuszonym do spędzenia tej nocy na lodowcu stawała się coraz realniejsza. Stickeen zdawał się móc znieść wszystko. Bez wątpliwości byliśmy w stanie przetrwać jedną burzową noc, tańcząc w jakimś płaskim miejscu żeby nie zamarznąć, więc bynajmniej nie stanąłem w obliczu tej groźby z rozpaczą. Ale byliśmy głodni i przemoczeni, ciągle wiał lodowaty wiatr i gęsto padał śnieg, a więc byłaby to bardzo długa noc. Przez zaćmiewający wszystko śnieg nie byłem w stanie zobaczyć, w którym generalnie kierunku leżała najmniej niebezpieczna droga, podczas gdy kilka niewyraźnych, przelotnych zarysów gór przez szczeliny w sunących chmurach były dalekie od zachęcających — ani jako oznaki pogody ani jako przewodnicy. Musiałem po prostu szukać drogi po omacku — od szczeliny do szczeliny, utrzymując zasadniczy kierunek opierając się na strukturze lodu, którą nie wszędzie było widać, jak i na kierunku wiatru. Coraz to na nowo musiałem zdobywać się na odwagę, ale Stickeen szedł w moje ślady z łatwością, zdawać by się mogło z tym bardziej

niezachwianą odwagą im większe niebezpieczeństwo. Tak to zawsze bywa z alpinistami gdy zostaną osaczeni. Biegając co tchu i skacząc, wykorzystując każdą minutę dziennego światła, tak cennego, a którego tak niewiele już zostało, uparcie parliśmy do przodu i staraliśmy się mieć nadzieję, że każda trudna szczelina, którą właśnie pokonaliśmy była ostatnią tego rodzaju. Ale było na odwrót, w miarę jak posuwaliśmy się, stawały się coraz trudniejszymi próbami.

Wreszcie naszą drogę zatarasowała bardzo szeroka i prosta szczelina, którą prześledziłem w kierunku północnym przez jakieś półtora kilometra, nie znalazłszy przejścia ani nawet nadziei na takowe. Później w dół lodowca na podobną odległość, gdzie łączyła się z inną nieprzekraczalną szczeliną. Na całej owej odległości może trzech kilometrów było tylko jedno jedyne miejsce, gdzie być może mógłbym ją przeskoczyć, ale długość tego skoku była największą na jaką mógłbym się odważyć, podczas gdy niebezpieczeństwo ześlizgnięcia się z przeciwległego brzegu było tak wielkie, że wolałbym nie próbować. Co więcej, brzeg na którym stałem był jakąś jedną trzecią metra wyższy niż przeciwny brzeg, ale nawet pomimo tej sprzyjającej okoliczności wydawała się niebezpiecznie szeroka. Człowiek jest skłonny niedoszacowywać szerokości szczelin, których rozmiary są generalnie wielkie. Dlatego wpatrywałem się w nią bardzo gorliwie, szacując jej szerokość i kształt jej krawędzi po przeciwnej stronie. W końcu stwierdziłem, że mógłbym ją przeskoczyć gdyby było to konieczne, ale gdybym został zmuszony przeskakiwać ją z powrotem z niższego brzegu, prawdopodobnie nie udałoby mi się to. Ostrożny alpinista rzadko wraca na nieznaną grunty jeśli jest on tak niebezpieczny, że uniemożliwia odwrót w przypadku natrafienia na przeszkody nie do pokonania. To jest reguła ludzi gór, którzy żyją długo i chociaż w pośpiechu, zmusiłem się żeby usiąść i spokojnie ją przemyśleć zanim ją złamię.

Odtwarzając swoją krętą ścieżkę w wyobraźni, jakby była narysowana na mapie, widziałem, że względem drogi przebytej nad ranem, obecnie przekraczałem lodowiec ze trzy kilometry w kierunku jego górnego biegu, i że dałem się usidlić w obszarze, którego wcześniej nie widziałem. Czy powinienem zaryzykować ten niebezpieczny skok, czy może spróbować cofnąć się do lasu po zachodniej stronie, zrobić ognisko i znosić tylko głód czekając na nowy dzień? Do tej pory przekroczyłem tak wielką połąć niebezpiecznego lodu, że byłoby trudno cofnąć się do lasu przez zamieć przed zapadnięciem ciemności i próba taka najprawdopodobniej zakończyłaby się przygnębiającym nocnym tańcem na lodowcu. Podczas gdy tuż za obecną barierą powierzchnia lodowca wydawała się bardziej obiecująca, a jego wschodni brzeg był obecnie być może równie blisko jak zachodni. Dlatego bardzo chciałem iść naprzód. Ale ten długi skok był straszną przeszkodą.

W końcu, z powodu niebezpieczeństw, które miałem już za sobą, postanowiłem zaryzykować te, które być może były wciąż przede mną. Skoczyłem i wylądowałem dobrze, ale z tak małym zapasem, że bardziej niż kiedykolwiek bałem się być zmuszonym do skoku z niższego brzegu. Stickeen skoczył za mną, nic sobie z tego nie robiąc i pobiegliśmy z niecierpliwością przed siebie, mając nadzieję, że zostawiamy wszystkie nasze kłopoty za nami. Ale w odległości kilkuset metrów zatrzymała nas najszersza szczelina ze wszystkich dotąd spotkanych. Oczywiście pośpieszyłem by ją zbadać, z całą mocą łudząc się, że jeszcze da się jej zaradzić znajdując most lub obchodząc jeden z jej końców. Po przebyciu ponad kilometra w górę lodowca okazało się, że łączy się ona ze szczeliną, którą właśnie przekroczyliśmy, czego się obawiałem. Śledząc ją w dół



stwierdziłem, że łączy się z tą samą szczeliną również swym dolnym końcem, utrzymując na całej swej długości szerokość 12 do 15 metrów. A więc ku swojemu przerażeniu odkryłem, że byliśmy na wąskiej wyspie długiej na trzy kilometry, z której wydostać się można tylko na dwa, ledwo możliwe sposoby: jeden z nich to droga, którą przybyliśmy a drugi to prawie niedostępny most lodowy, który przecinał tę wielką szczelinę prawie w samym jej środku!

Po dokonaniu tego targającego nerwy odkrycia pobiegłem z powrotem do mostu i ostrożnie go zbadałem. Szczeliny powstają wskutek naprężeń wywołanych różnym tempem ruchu różnych części lodowca i wypukłościami koryta. Tuż po powstaniu są zaledwie pęknięciami, tak wąskimi, że trudno w nie wcisnąć ostrze szczyryka. Później stopniowo poszerzają się w tempie zależnym od rozległości naprężeń i grubości lodowca. Niektóre z tych szczelin są poprzerywane, niczym szczeliny w drewnie: gdy jedna szczelina zwęża się ku swemu końcowi, inna rozpoczyna się obok niej i na pewnym odcinku biegną obok siebie. W miarę poszerzania się szczelin, pasmo lodu pomiędzy nimi staje się mostem, którego końce rozwlekane są poprzecznie ale mogą utrzymać stały kontakt ze ścianami szczeliny, tak samo jak włókna w rozsziepianej szczapie łączą obydwie kawałki drewna. Niektóre z takich mostów łączą brzegi szczelin przez miesiące czy nawet lata. Wskutek topienia się brzegów szczelin, ich szerokość wzrasta nawet długo po ustaniu naprężeń, które je otworzyły. Podczas gdy lodowe pomosty, których górna powierzchnia jest początkowo pozioma i zupełnie bezpieczna, z czasem nadtapiają się do cienkich, pionowych, nożowatych ostrzy, ponieważ ich górna część jest najbardziej wystawiona na wpływ warunków atmosferycznych. I ponieważ owo wyeksponowanie na erozję jest największe na środku mostów, z czasem wyginają się one w dół niczym liny nośne wiszących mostów. Nasz most był ewidentnie bardzo stary: był zwiędziały i zmarniały najbardziej ze wszystkich, które kiedykolwiek leżały na mojej drodze. Szczelina była tutaj szeroka na 15 metrów, a przecinający ją skośnie most miał długość ponad 20-tu metrów. Jego nożowata górna krawędź obniżała się na jakieś 8 metrów poniżej poziomu lodowca, a jego wygięte ku górze końce przyłączone były do ścian szczeliny jakieś 2 – 3 metry poniżej jej krawędzi. Głównymi trudnościami, które wydawały się niemal nie do pokonania, było zejście w dół po prawie pionowej ścianie aby osiągnąć jeden z końców i podejście po przeciwnej ścianie szczeliny. Spośród wielu niebezpieczeństw, które spotkałem przez te wszystkie lata wędrowania po górach i lodowcach, żadne nie wydawało się tak proste, tak surowe i tak bezlitosne jak ów most. A stanęło ono przed nami gdy byliśmy kompletnie przemoczeni i głodni, z ciemnym niebem, zacinającym śniegiem i bliską nocą. Ale byliśmy zmuszeni się z nim zmierzyć. Była to niesamowita konieczność.

Rozpoczynając nie bezpośrednio nad zapadłym końcem mostu, ale nieco z boku, wyrąbałem na krawędzi głęboki dołek na kolana. Następnie wychyliłem się i jakieś 40 centymetrów niżej, swoim czekanem o krótkiej rekojeści wyciąłem stopień, który z konieczności był płytki z uwagi na stromiznę ściany. Ten stopień był jednak dobrze zrobiony: jego dno pochylało się lekko w kierunku ściany i tworzyło dobrą podstawę dla moich obcasów. Ostrożnie się w niego wśliznąłem i kucając tak nisko jak to było możliwe, z moim lewym bokiem przy ścianie, złapałem równowagę we wietrze, chwytając lewą ręką nieznaczne wcięcie. Prawą ręką wyciąłem kolejne stopnie i wcięcia, strzegąc się żeby nie stracić równowagi wskutek odbić czekana albo porywów wiatru, albowiem życie i śmierć były w każdym uderzeniu oraz w przyjemności ukończenia

każdego stopnia.

Gdy osiągnąłem początek mostu wyszczerbiłem w nim płaską platformę szeroką na piętnaście do dwudziestu centymetrów. Ciężką próbą było przyjmowanie póż na tej małej śliskiej platformie i pochylenie się tak, żeby bezpiecznie usadowić się okrakiem na moście. Jego przekraczanie było już wtedy względnie łatwe: wyszczerbywałem jego ostrą krawędź krótkimi, ostrożnymi uderzeniami i podciągałem się do przodu o jakieś trzy czy pięć centymetrów na raz, utrzymując równowagę ściskając kolanami boczne ściany i pilnie ignorując kolosalne czeluście po obydwu stronach. Dla mnie całym światem była wtedy krawędź tego błękitnego mostu. Ale najcięższą próbą w całej tej przygodzie, po przebyciu centymetr po centymetrze całej długości mostu i wyrąbaniu następnej małej platformy, było podnieść się z bezpiecznej pozycji „okrakiem” i wyrąbać drabinę stopni w prawie pionowej ścianie – dziobiąc czekanem, wspinając się i trzymając się stopami i palcami nieznaczących wcięć. W takich momentach całe ludzkie ciało staje się bystrym okiem i zwykła sprawność i hart ducha zastąpione zostają przez nieznaną nam moc. Nigdy wcześniej nie byłem tak długo w tak śmiertelnie wyczerpującym napięciu. Nigdy bym nie umiał wytłumaczyć jakimże to sposobem wydostałem się na ten klif. Wydawało się, że kto inny to zrobił. Nigdy nie lekceważyłem śmierci, ale od czasu do czasu na swoich wyprawach wydawało mi się, że spotkać swe przeznaczenie na szlachetnym szczycie, albo w sercu lodowca, byłoby błogosławieństwem w porównaniu ze śmiercią z powodu choroby albo jakiegoś lichego nizinnego wypadku. Ale ciężko jednak było spojrzeć w tę najlepszą śmierć, szybką i krystalicznie czystą, która tak piorunująco stanęła przed nami. Ciężko pomimo, że z wdzięcznością byliśmy przekonani, że zażyliśmy już szczęścia, którego wystarczyłoby na tuzin żyć.

Ale co z biednym Stickeem? – Pomyśl o nim! Gdy zdecydowałem, że odważę się na most i gdy na kolanach wyrąbywałem stopień na zaokrąglonym brzegu szczeliny, on podszedł do mnie z tyłu, wystawił łeb nad moim ramieniem, popatrzył w dół i na drugi brzeg, oraz przyjrzał się mostowi i drodze, która do niego wiodła tymi swoimi tajemniczymi oczami. I wtedy spojrzął mi w twarz z zaskoczoną, niespokojną miną i zaczął mrużyć i skomleć, zwracając się do mnie tak jasno jakby używał słów: „Chyba nie zamierzasz pójść w to straszne miejsce?”. To był ów pierwszy raz, kiedy widziałem go wpatrującego się celowo w szczelinę, czy też we mnie, z wymowną, rozgorączkowaną i zmartwioną miną. Toż to zaprawdę cudowna roztropność, że na pierwszy rzut oka rozpoznał i docenił niebezpieczeństwo. Nigdy wcześniej ten zuchwały malec nie wydawał się przyjmować do wiadomości, że lód jest śliski, czy że w ogóle istnieje gdzieś taka rzecz jak niebezpieczeństwo. Jego miny i głos, gdy zaczął narzekać i wyrażać swój strach, były tak ludzkie, że nieświadomie przemówiłem do niego ze współczuciem, jakbym mówił do przestraszonego chłopca i próbując złagodzić jego strach w pewnym stopniu okiełznałem swój własny. „Strachy na lachy, chłopcze”, powiedziałem, „przedostaniemy się bezpiecznie, chociaż nie będzie to łatwe. Żadna z prostych dróg nie jest łatwa na tym surowym świecie. Musimy zaryzykować życie żeby je ocalić. W najgorszym wypadku tylko się poślizgniemy, a wtedy jakież to wspaniałe będziemy mieli grób a z czasem i nasze pocziwe kości przysłużą się dobrze czołowej morenie.”

Ale moje kazanie było dalekie od rozproszenia jego obaw: zaczął łkać i po kilku przenikliwych spojrzeniach w tę ogromną otchłań, odbiegł w rozpaczliwym podnieceniu, szukając jakiegoś innego przejścia. Do czasu gdy wrócił ja miałem już za sobą krok czy dwa. Nie miałem odwagi spojrzeć do tyłu, ale dawał się słyszeć. I gdy zoba-

czył, że na pewno jestem zdecydowany przekroczyć szczylną głośno załkał w rozpacz. Niebezpieczeństwo było wystarczająco duże żeby zastraszyć każdego, niemniej jednak wydaje się cudowne, że był w stanie zważyć je i docenić tak trafnie. Żaden alpinista nie dostrzegłby tego szybciej i nie osądziłby mądrzej, odróżniając zagrożenie rzeczywiste od pozornego.

Gdy osiągnąłem drugi brzeg zawył głośniejsz niż kiedykolwiek i biegał w tę i z powrotem próżno szukając drogi ucieczki. Po czym wracał na krawędź szczeliny nad mostem jęcząc i zawodząc jakby czuł gorycz śmierci. Czyżby to był nasz milczący, filozoficzny Stickeen? Krzyknąłem do niego zachęcająco, mówiąc mu, że most nie jest taki zły jak wygląda, że uczyniłem go płaskim i bezpiecznym dla jego łap, i że może po nim przejść z łatwością. Ale bał się spróbować. Jakie to dziwne, że tak małe zwierzę jest zdolne do takiego wielkiego i mądrego strachu. Zawołałem go jeszcze raz i jeszcze raz pełnym zaufania głosem żeby przechodził i niczego się nie bał; że mógłby przejść gdyby tylko zechciał spróbować. Ucichał wtedy na chwilę, znowu patrzył w dół na most i wykrzykiwał swoje niewzruszone przekonanie, że nigdy — nigdy nie będzie mógł przejść tą drogą. Wtedy rzucał się na grzbiet w rozpacz, wyjąc, „Ooo...!, Jakie okropne miejsce! Neeee, niigdy tędy nie przejdę!” Jego naturalne opanowanie i odwaga zniknęły zupełnie w burzliwym zamęcie strachu. Gdyby zagrożenie było mniejsze, jego niedola wydawałaby się śmieszna. Ale w tej ponurej, bezlitosnej czeluści czaił się cień śmierci i jego przygnębiające łkania pewnie wzywały Niebiosa o pomoc. Może i wezwały. Wcześniej taki zuchwalec, teraz był nagi: widać było pracę jego serca i umysłu tak łatwo jak ruch mechanizmu zegara wyjętego z koperty. Jego głos i gesty, nadzieje i strachy, były tak perfekcyjnie ludzkie, że nikt nie pomyliłby ich z niczym. Podczas gdy on wydawał się rozumieć każde moje słowo. Martwiła mnie myśl zostawienia go na całą noc i ryzyko nie znalezienia go nazajutrz. Ale nakłonienie go żeby się odważył wydawało się niemożliwe. Żeby go zmusić do próby strasząc, że go porzucę, oddaliłem się tak jakbym pozostawiał go jego własnemu losowi i zniknąłem za pagórką. Ale to nie działało. Tylko kładł się i lamentował w zupełnie beznadziejnych męczarniach. A więc po kilku minutach ukrywania się wróciłem nad brzeg szczeliny i kategorycznym tonem krzyknąłem mu, że teraz już muszę na pewno go zostawić, że dłużej nie mogę czekać, i że jeśli nie przejdzie to wszystko co mogę mu obiecać to to, że wrócę jutro żeby go szukać. Ostrzegłem go, że jeśli wróci do lasu zabiją go wilki i wreszcie skończyłem przynaglając go jeszcze jeden raz, słowami i gestami, żeby przechodził, prze – cho – dził. Wiedział bardzo dobrze o co mi chodzi i w końcu, z odwagą desperata, wyciszony i bez tchu, przycupnął na krawędzi w wydrążeniu, które zrobiłem dla swoich kolan, przylgnął całym ciałem do lodu jakby chciał wykorzystać tarcie każdego swojego kłaka, wgapił się w pierwszy stopień, złożył swoje małe łapy razem i wśliznął się powoli, powoli przez krawędź w ów stopień, tłocząc się w nim wszystkimi czterema łapami i prawie stojąc na głowie. Następnie, nie odrywając łap od lodu, o ile mogłem stwierdzić w śnieżycy, powoli przedostał je przez krawędź stopnia i wsunął w następny i kolejno w następne stopnie w ten sam sposób, aż osiągnął początek mostu. Wtedy, podnosząc łapy z regularnością i powolnością wahań sekundowego wahadła, jakby odliczał *raz-dwa-trzy*, starannie utrzymując równowagę w porywistym wietrze i poświęcając osobno uwagę każdemu małemu krokowi, dotarł do podstawy klifu, podczas gdy ja na kolanach pochylałem się żeby go podciągnąć gdyby udało mu się dostać w zasięg moich rąk. Tutaj zatrzymał się w martwej ciszy i obawiałem się, że właśnie tutaj może spaść, bo psy

są kiepskimi wspinaczami. Nie miałem sznurka. Gdybym miał, opuściłbym mu na łeb pętlę i wyholowałbym w górę. Ale podczas gdy ja zastanawiałem się czy nie dałoby się zrobić prowizorycznego sznurka z ubrania, on wpatrywał się przenikliwie w szereg wciętych stopni i otworów na palce, które zrobiłem. Jakby je liczył i ustalał położenie każdego z nich w swoim umyśle. I wtedy nagle strzelił w górę niczym sprężyna, zahaczając łapy o stopnie i wycięcia tak szybko, że nie zdążyłem zobaczyć jak to zrobił i świsnął mi koło głowy, nareszcie bezpieczny!

Cóż to była za radość! „Dobra robota, chłopaku! Dzielny chłopaku!” wołałem przez łyzy, próbując go złapać i uścisnąć. Ale nie było o tym mowy. Nigdy wcześniej ani później nie widziałem tak gwałtownego zwrotu od głębokiej rozpaczy do triumfalnej, nieokiełznananej radości. Rzucił się i pędził to tu to tam, jakby był całkiem szalony. Piszcząc i wrzeszcząc przy tym, oszalałamiąco kręcąc się w kółko niczym liść porwany przez trąbę powietrzną. Rzucił się w śnieg i turlał na bok i do przodu, przez głowę, wylewając z siebie hałaśliwy potok histerycznych szlochań i zadyszanego mrużenia. Gdy podbiegłem żeby nim potrząsnąć, bojąc się żeby nie skonał z radości, wystrzelił na sto czy dwieście metrów, z łapami prawie niedostrzegalnymi w ruchu. Wtedy nagle skręcił i wracał w dzikim pędzie, rzucając się mi do twarzy, prawie zwalając mnie z nóg, cały czas skrzecząc, piszcząc i krzycząc jakby mówił „Uratowany! Ocalony!”. Znowuż odbiegał, padał, rzucał się w śnieg z łapami w górze, trzęsąc się i szlochając. Jego wzruszenie wyglądało tak zapalczywie, że obawiałem się o jego życie. Wzniosła pieśń triumfu Mojżesza, po ucieczce Egipcjanom przez Morze Czerwone, była niczym w porównaniu do tego. Kto by przypuszczał, że tak wielka jest zdolność tego zimnego, twardego, małego kompana do przeżywania wszystkich owych wzruszeń, które najbardziej wstrząsają naszym śmiertelnym ciałem? Nikt nie mógłby się powstrzymać od płakania razem z nim!

Nie ma sposobu na złagodzenie nieokiełznanego strachu czy radości. Więc pobiegłem dalej, wołając go tak szorstkim głosem na jaki mogłem się zdobyć żeby przerwał swój nonsens, bo przed nami jeszcze daleka droga a wkrótce będzie ciemno. Żaden z nas nie obawiał się jeszcze jednej podobnej próby. Tam w niebiosach na pewno ustalono, że jedna w zupełności wystarcza na całe życie. Łód przed nami był pocięty tysiącami szczelin, ale raczej pospolitymi. Radość uwolnienia się płonęła w nas niczym ogień i biegliśmy nie czując zmęczenia. Każdy mięsień sprężyste chlubił się swoją siłą. Stickeen dosłownie przepływał przez wszystko co stało na jego drodze i jeszcze przed zapadnięciem ciemności wpadł w swój normalny lisi rytm. W końcu dojrzeliliśmy spowite chmurami góry i wkrótce poczuliśmy solidny skalny grunt pod swoimi stopami — byliśmy bezpieczni.

I wtedy poczuliśmy zmęczenie. Niebezpieczeństwo zniknęło, a z nim nasza siła. Zataczaliśmy się w dół bocznej moreny w ciemności, przez głązy i pnie, przez krzaki i gąszcz diabelskiego zagajnika, w którym schroniliśmy się nad ranem a później przez błotnisty stok moreny czołowej. Osiągnęliśmy obóz około dziesiątej trafiając na wielkie ognisko i wielką kolację. Grupa Indian Hoona odwiedziła pana Younga, przynosząc prezenty w postaci mięsa świnioryby i poziomek. A myśliwy Joe przyniósł kozicę. Ale my padliśmy zbyt zmęczeni żeby wiele jeść i szybko zapadliśmy w niespokojny sen. Człowiek, który powiedział „Im większy trud tym słodszy odpoczynek” najwyraźniej nigdy nie był naprawdę zmęczony. Stickeen wzdrygał się i mruczał coś przez sen, bez wątplenia śniąc, że ciągle jest na brzegu szczeliny. Ja także rzucałem się i majaczyłem tej nocy a także o wiele później, zawsze gdy byłem przemęczony.

Od tamtej pory Stickeen był innym psem. Podczas dalszych etapów wyprawy, zamiast trzymać się na uboczu, zawsze kładł się przy moim boku, starał się mieć mnie ciągle w zasięgu wzroku i prawie nigdy nie przyjmował smacznych kąsków, jakkolwiek kuszących, z innej ręki niż moja. Nocą, gdy cisza zapadała przy ognisku, przychodził do mnie i opierał głowę na moim kolanie z tak oddaną miną jakbym był jego bogiem. I często gdy nasz wzrok spotykał się, zdawało się, że próbuje powiedzieć „Pamiętasz ten straszny czas gdy byliśmy razem na lodowcu?”

Nic w późniejszych czasach nie przyćmiło tego burzowego dnia na Alasce. Nawet gdy teraz piszę te słowa, obrazy i dźwięki powracają i huczą mi w głowie jakbym był znowu w sercu tego wszystkiego. Znowu widzę szare sunące chmury z ich kurtynami deszczu i śniegu, lodowe klify wznoszące się nad kurczącym się lasem, majestatyczną kaskadę lodu, rozległy lodowiec otoczony białymi szczytami, a w jego sercu kolosalną szczelinę — emblemat doliny cienia śmierci — niskie obłoki przepływają ponad nią i pada w nią śnieg; a na jej brzegu widzę małego Stickeena i słyszę jego zawołanie o pomoc i jego okrzyki radości. Znałem wiele psów i wiele historii mógłbym opowiedzieć o ich mądrości i poświęceniu; ale żadnemu z nich nie zawdzięczam tyle co Stickeenowi. Na początku najmniej obiecujący i najmniej znany spośród mych przyjaciół, nagle stał się mi najbliższy z nich wszystkich. Obnażyła go nasza burzowa walka o życie i od tamtej pory przez niego, jak przez okno, spoglądam z głębszą sympatią na wszystkich moich śmiertelnych towarzyszy.

Żaden z przyjaciół Stickeena nie wie co się z nim ostatecznie stało. Po zakończeniu swojej sezonowej pracy odpłynąłem do Kaliforni i już nigdy więcej nie widziałem drogiego małego kolegi. W odpowiedzi na moje zatroskane dopytywanie się, jego pan napisał mi, że latem 1883-go roku został skradziony przez jakiegoś turystę w Fort Wrangel i zabrany na parowiec. Jego los otoczony jest mgłą tajemnicy. Bez wątpienia do tej pory opuścił już ten świat — przekroczył ostatnią szczelinę. Ale nie zostanie zapomniany. Dla mnie Stickeen jest nieśmiertelny.

Thum.: jinx (2003)